

## Palec Boży

Po dziś dzień żałuję, że nie dałam listonoszowi napiwku. Wdrapał się na szóste piętro do mojego warszawskiego mieszkania i ciężko sapiąc stanął pod drzwiami. Winda znów była zepsuta i w przypadku każdego innego mieszkańca zadowoliliby się wrzuceniem karteczki do rozklekotanych skrzynek na listy, które w zgodnym rzędku wisały na parterze. Gdy był w dobrym nastroju, zostawiał też czasem paczki u pana Goldfarba, gospodarza domu, który całe życie, z wyjątkiem jakichś może trzech lat, mieszkał w tym miejscu. Ale listonosz niechętnie rezygnował z pogaduszek ze mną, jedyną *Holenderką* w jego listonoszowym życiu. I jak wiesz, zawsze w twardej walucie hojnie nagradzałam jego prognozy pogody, poglądy polityczne czy sąsiedzkie ploteczki. Teraz więc stał przede mną, bez tchu, z agonalnym wąsem pod nosem jak wpół uschnięta wiązka siana.

Tak byłam zadziwiona olbrzymią tubą, którą mi podał, że pospieszyłam podpisać pokwitowanie, zapominając o pogawędce i napiwku. Po adresie na paczce, zamasyście nabazgranym jak kura pazurem, rozpoznałam Ciebie: moją Miłość od pięciu nocy. Miłość o dziwnych zwyczajach. Co noc zostawiałeś u mnie jakiś zielony przedmiot - długopis, grzebień, zapalniczkę, cukierka o smaku jabłkowym w szeleszczącym papierku. A tego dnia, kilka godzin przed przyjściem listonosza, na brzegu wanny natknęłam się na zieloną szczoteczkę do zębów. To zaniepokoiło mnie bardzo. Nie miałeś chyba zamiaru wprowadzić się do mnie?

Położyłam paczkę na stole kuchennym i przyjrzałam się zawijasom namazanym na szarym pakowym papierze. Najpierw nastawię wodę na herbatę. Posmaruję kanapkę. Obiorę jabłko. Żując wyrzałam przez okno, w dół, na Żelazną, wzdłuż której ponownie człapał listonosz z ciężką torbą pocztową przewieszoną przez prawe ramię, w głęboko naciągniętej na uszy wypłowiałej czapce. Dzień był szary, i chociaż popołudnie dopiero się zaczynało, w wysokim bloku naprzeciwko tu i ówdzie już pozapalano światła. Na podwórku dzieci wyprowadzały dalmatyńczyka, jeszcze szczeniaka, usiłując prowadzić rozhasane zwierzę grzecznie na smyczy. Wzdłuż ponurych piaskownic szły z dziecięcymi wózkami dwie babcie zatopione w rozmowie, a ich okutane czapkami głowy kiwały do siebie zawzięcie. Chłopak z sąsiedztwa siedział na ławce na przystanku autobusowym przyglądając się przejeżdżającym samochodom, a na ławce obok niego leżała nieodłączna reklamówka. Od czasu do czasu przyciągał torbę do siebie i pociągał z niej spory łyk. Na rogu Chłodnej z autokaru wysiadała grupa młodzieży izraelskiej, przyjeżdżającej tu, by pod brukiem ulicznym i między korzeniami drzew ówczesnego getta poszukiwać śladów pozostawionych przez dziadków. Młodzież gromadziła się wokół przewodnika. Jeden z chłopców wokół ramion udrapował sobie flagę. Biała płaszczyna z niebieską gwiazdą Dawida ostro odcinała się od ciemnej wystawy apteki. Jakaś dziewczyna kręciła się niespokojnie w kółko. Gdy zdawało się jej, że nikt nie patrzy, szybko zapaliła świecę i postawiła ją na chodniku, osłoniętą od wiatru przez przedwojenne budynki.

Odłożyłam lornetkę. Już nie ma co odwlekać. Delikatnie rozciąłam papier. Kolor tuby nie zdziwił mnie. Odkręcając pokrywę poczułam zapach: zapach strachu i ognia, zwierząt i starego papieru.

To był pierwszy prezent od ciebie: nieczytelne znaki na prastarym pergaminie. Papier był pożółkły, a wiele rdzawych plam i wypalonych dziur sprawiało, że tekst był niekompletny. Dopiero wiele lat później miałeś mi pomóc odcyfrować hebrajskie znaki. Na głos czytałeś powoli śpiewne słowa, które zaczynały się od: *jęczeli z powodu ciężkiej pracy i narzekali, a ich wołanie o pomoc z powodu ciężkiej pracy dotarło do Boga. I usłyszał Bóg ich narzekanie. I wspomniał Bóg* (w tym miejscu widniała wypalona dziura). *I wejrzał Bóg na Izraelitów: Bóg ujął się za nimi.*

Do tuby przykleiłeś kopertę, a w niej znalazłam pierwszy list od ciebie: rojowisko dziwnych znaków fruujących po kartce, każdy w swoją stronę, zostawiając za sobą inny ślad, z którymi zupełnie nie wiedziałam, co począć: Kocham cię, nienawidzę cię, zostanę z tobą na zawsze, opuszczę cię za trzy lata, dwa miesiące i 25 dni, ty ode mnie odejdziesz za cztery lata, pięć miesięcy i 14 dni, nigdy nie będziemy podróżować razem, będziemy chodzić po Syberii i wracać do domu z odmrożonymi nosami, moja matka nienawidzi synowych, przyjmie cię do serca, będziemy razem czytać książki, które potem podrę, będziemy kłócić się o sens bajek, będę cię kochał, bo wierzysz w krasnoludki, będę ci piekł słodkie torciki, a ty będziesz mnie trzymać za rękę u dentysty, bo się boję, będziemy uprawiać miłość trzysta siedemdziesiąt sześć razy, a z tych trzystu siedemdziesięciu sześciu razy będziesz miała trzysta czterdzieści jeden orgazmów, przez wszystkie te lata będę utrzymywał kochankę, ale zachowam to w tajemnicy, moja córka już nie jest dzieckiem, w snach ukrzyżowuję kobiety, nie oddawaj nigdy tego prezentu, bo jest tylko dla ciebie, pochowaj ten papier razem ze mną, gdy umrę - to wszystko było w tym liście, którego nie mogłam odczytać i nie wiedziałam, w co wierzyć.

A jakże mogłeś pisać czytelnie? Mówiłeś rękoma, pisałeś czołem i nigdy nie płakałeś oczami. Twoje czoło wyglądało dokładnie tak, jak twoje pismo, gdy zaczynałeś opowiadać historie albo szukałeś w sobie odpowiedzi na moje pytanie. Małe, tajemnicze znaki z wieloma kropeczkami i kreseczkami torowały sobie drogę wzdłuż linii włosów, zmarszczek, wokół drobnych włosków brwi: niemal czytelne marszczenie. Czasem litery spadały i mogłeś się im przyglądać oczami pełnymi rozpacz. Długo szukałeś słów, których chciałeś użyć, ale gdy już je znalazłeś, twoje ręce zaczynały fruwać i mówić wszystko jednocześnie, często zapalałeś wtedy papierosa, a jeśli biegłam za tobą nie dość szybko, to słowa unosiły się jak dym, rozpraszaly się, jakby nigdy nie istniały. Czytając, wrywałeś z książki strona po stronie, aby litery, jak mawiałeś, mogły rozpocząć nowe życie.

Twoja matka, zatwardziała komunistycznie ateistka, powiedziała mi kiedyś, że Bóg pozostawił zapis na twoich włosach, że ten biały lok nazwała palcem Bożym. Palec Boży zawsze wskazywał nam drogę. W samochodzie siedziałam z tyłu, ty za kierownicą, a biały znak z tyłu twojej głowy wskazywał nam kierunek, w którym mieliśmy jechać: tu w lewo, tu w prawo, pod górę, do końca żwirowej drogi, aż do domku, w którym mieliśmy spędzić weekend. Zrobiło się już ciemno, gwiazdy były wysoko na niebie, a księżyc nie świecił prawie wcale, więc znów musiałam stanąć za tobą: klucz leży tutaj, pokazywał palec Boży, za doniczką, i pasuje tylko do jednego z czterech zamków, palec Boży wskazał nam, który to z nich, i w ten zamek należało wsunąć klucz, przekręcić półtora obrotu niezgodnie ze wskazówkami zegara, wsunąć centymetr głębiej w zamek, jeszcze dwa obroty w prawo i byliśmy w środku. Palec Boży wskazał nam wtedy łóżko, czystą pościel w szafce, poduszki wypełnione kaczym puchem, z których piórka kłuły nas w nocy w policzki, i w ciemności, bo gwiazdy nadal stały wysoko na niebie, więc w ciemności postaliśmy łóżka i wybraliśmy potem to z prawej strony, a może palec Boży wybrał prawe łóżko i położyliśmy się blisko siebie na śmietankowej bieli prześcieradła jak dwa znaki zapytania, ja za tobą, tak by patrzeć na palec Boży i słyszeć jego wskazówki, do późnej nocy. I wiedziałam dokładnie, co mam robić, i że mam to robić spokojnie, bo jak się czegoś przestraszyłeś, to palec Boży stawał się niewidoczny, a słowa, zagubione, przyklejały się do rąk.

Wiedziałam, że wiele kobiet przede mną nie czuło żadnego respektu do palca Bożego. Jedna z nich ufarbowała ci włosy na czarno, by nie musieć go słuchać, ale w ciągu jednego dnia straciłeś cały kolor, a twoje czoło stało się gładkim lustrem, w którym widziała już tylko swoje odbicie. Czym prędzej wybieliła ci wtedy pukiel włosów, bo wiedziała, że palec Boży nie da się oszukać. Dużo czasu minęło, zanim stałeś się na powrót sobą.

Jej następczyni wycięła ci te białe włosy, precz z nimi, precz, i nagle byłeś poszarzały, z drżeniem i niepewnością szukałeś swojej drogi, a ręce trzęsły ci się tak, że nie byłeś w stanie powiedzieć słowa. Gdy biały pukiel odrósł i powróciły twoje idee i pomysły, ponownie chciała go wyciąć, ale odebrałeś jej nożyczki, a potem odesłałeś tam, skąd przyszła, *rücksichtslos*.

Początkowo bałam się palca Bożego i potrzebowałam wielu miesięcy, żeby się nauczyć jego kaprysów. Czasami się to udawało i wtedy wszystko szło pomyślnie i żyliśmy długo i szczęśliwie, jak w bajce.

\*\*\*

Lęk. Nagle zacząłeś pachnieć zimnym potem strachu, ot tak z dnia na dzień. Bałam się zacząć liczyć, ile to już lat, miesięcy i dni jesteśmy razem?

Poznałam po palcu Bożym, że przeze mnie twój lęk tylko się wzmacnia. Gdy chciałam cię dotknąć, biały pukiel malał i chował się w sobie. Nocami ręce bezradnie zsuwały mi się z twojej mokrej skóry.

Przeoczyłam sygnały.

Już od miesiący nie chciałeś mi czytać zwoju hebrajskiego tekstu.

Coraz częściej sięgałeś po lornetkę. Mogłeś godzinami wyglądać przez okno, patrzeć na blok naprzeciwko, ale twoje ręce dawno już przestały opowiadać szalone historie o tym, co widzisz tam za oknami. Białe włosy poruszały się nerwowo, gdy nawiązałeś kontakt z którymś z setek sąsiadów po drugiej stronie ulicy: to ten, co gapi się na nas przez lornetkę. Mogliście tak tkwić bez końca, obserwując się bacznie nawzajem: dwa tygrysy w klatkach, gotowe do skoku na siebie.

Gdy wracałam do domu, wszędzie było pełno stron z książek, które czytałeś. Bywały dni, że trudno mi było cię znaleźć: leżałeś zwinięty na skraju łóżka, z rękoma wokół głowy, zakopany pod kulkami zadrukowanego papieru. Czasem odwiedzałeś pana Goldfarba i siedziałeś tam milcząco, pogrążony w lekturze, wasze słowa ukryte w chmurach dymu papierosowego. Zabraniał ci tego: u niego nie będzie się wrywać żadnych stron z książek.

Biały pukiel stracił blask i leżał zaniedbany z tyłu głowy, a twoje włosy w ciągu miesiąca tak posiwiwały, że właściwie palec Boży trudno już było odnaleźć. Litery w panice błędziły ci po czole. Stałeś się nieczytelny.

Gdy odszedłeś na zawsze, zostawiłeś mi zieloną tubę, jak grubą kreskę pod twoim odejściem. Będąc teraz sama, nie miałam odwagi wyjąć tekstu ze schowka, poza tym przecież nadal nie umiałam czytać po hebrajsku bez twojej pomocy. Ale wiedziałam, że słowa tam leżą, zawinięte w siebie, bzyząc cichutko, schowane głęboko za tym, co pozostało z moich książek.

Pewnej nocy obudziłam się ze snu, który składał się wyłącznie z zapachów. Obudziłam się z zapachem twojego ciała w nozdrzach - tak pachniałeś, gdy jeszcze mogłeś czytać, albo gdy splatałeś mi warkocze, albo gdy opowiadałeś bajki o krasnoludkach. Może stało się tak, jak przewidziałeś, a mój czas minął, lata, miesiące i dni, które mi ofiarowałeś, przeszły. Kilka tygodni później spakowane pudła czekały na przeprowadzkę. Hebrajski zwój nigdzie nie pasował, do żadnego z pudeł, a po wyjeździe transportu z moim dobytkiem tuba nadal leżała w kącie pokoju, pod drzwiami od balkonu, pośród kilku kulek z papieru, które wyłoniły się zza regałów. Znów był taki pochmurny dzień, jak ten, w którym listonosz stanął przed drzwiami, cztery lata, pięć miesięcy i 14 dni temu. Znów stałam z listem w ręku i nadal kompletnie go nie rozumiałam. Czy piszesz mi w nim, że jest to prezent z twojego dzieciństwa, który mi ofiarujesz, bo tak bardzo mnie kochasz i dlatego chciałbyś, żebym przechowała

go dla ciebie? Czy jest to pamiątka rodzinna, przechowywana przez wiele pokoleń, powierzona niegdyś przez twojego pradziadka twojej matce, przechowana niemal bez szwanku przez podróż przez Syberię, chociaż twoja matka zdecydowanie zaprzeczała, jakoby miała z tym cokolwiek wspólnego? Czy może prawdą jest, że znalazłeś ten zwój słów na którymś ze śmietników z podwórek za waszym domem, porzucony przez sąsiadów, którzy w największym pośpiechu opuszczali swoją ojczyznę? Czy też pisałeś w liście, że będę niepokieszona, jeśli opuszczę ciebie i twój kraj, że będę tułać się z tym zwojem jak z duszą na ramieniu, aż pan Goldfarb mnie odwiedzi w dniu wyjazdu, żeby przeprowadzić inspekcję mieszkania?

Pan Goldfarb odkręcił pokrywę tuby i chyba natychmiast poczuł ten zapach: zapach strachu i ognia, zwierząt i starego papieru. Nie szkodzi, przywykł do tego. Zdobyłam się też na to, by mu powiedzieć, że nadal widuję, jak idziesz. Lepiej niż ktokolwiek inny - powiedziałam, gdy pan Goldfarb przypalał sobie papierosa - wiesz, że terażniejszość nigdy nie jest teraz, że wszystkie cienie z przeszłości krążą zawsze z tobą, wchodzą w życie w postaci ludzi z krwi i kości, a to towarzysza podróży w pociągu, a to kompana od kieliszka w knajpie, kogoś, z kim może prowadzę rozmowę, dzięki czemu znów, przez chwilę, widzę twoją dłoń, jak opowiada mi coś i znów czuję owo drżenie, które ruch ten zawsze we mnie wzbudza. Tego o dłoni i drżeniu i geście już nie mówiłam, a pan Goldfarb nie musi też wiedzieć, że w takich chwilach podnoszę nagle wzrok i przepełnia mnie nagły lęk, bo zdaje mi się, że mogę odczytać twój odległy przekaz w troskliwie marszczących się brwiach innego mężczyzny.

Ale pan Goldfarb nie zmarszczył czoła, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Rozwinął pergamin i zaczął cicho i śpiewnie czytać: *jęczeli z powodu ciężkiej pracy i narzekali, a ich wołanie o pomoc z powodu ciężkiej pracy dotarło do Boga. I usłyszał Bóg ich narzekanie. I wspomniał Bóg .... I wejrzał Bóg na Izraelitów: Bóg ujął się za nimi.*

- Te słowa - powiedział, - znamy na pamięć. Ale wie pani, w tym domu, gdzie teraz nikt już nie mówi słów, to one obumrą, wraz z nadpalonym pergaminem i startym atramentem. Dlatego powinny pójść tą samą drogą, co ludzie, którzy umarli. Gdy pochowamy zwój księgi w świętej ziemi, to słowa odnajdą spokój, mogą poszukać drogi, którą chcą iść. Może ku pokoleniom, które nadejdą po nas, po mnie.

Popatrzył na mnie i przez chwilę smutny cień zasnuł jego twarz. Pogrzebał w kieszeniach i myślałam, że chce zapalić jeszcze jednego papierosa, ale wyciągnął wielką białą chustkę i pospiesznie wytarł czoło. I wtedy zobaczyłam je po raz pierwszy: sześć ciemnych cyfr, wypalonych w miękkim ciele lewego przedramienia.

Dopiero gdy wypowiedział słowa "zwój" i "pochować", zrozumiałam, jak kardynalny błąd popełniałam przez wszystkie te lata. Niewłaściwie cię odczytałam: jak mocno zszytą księgę, zaczynając się od strony pierwszej, od lewego górnego brzegu, w dół i w prawo, do przekładania

strony po stronie i zaznaczania zakładką miejsca, w którym jestem. Dlaczego nigdy nie podeszłam do ciebie jak do zwoju, który trzeba ostrożnie dotykać palcami, a może wręcz w białych rękawiczkach, jako wyraz najwyższego szacunku? Tak właśnie powinnam była cię rozwijać, bardzo starannie i ostrożnie, a dopiero potem zacząć czytać: od końca, uważnie powracając do przeszłości, przesuając palce nad niepokornym papierem.

Stoję teraz przy oknie w kuchni i patrzę na Żelazną. Chłopak z sąsiedztwa siedzi na ławce przystanku z ręką ukrytą w plastikowej torbie. Pan Goldfarb wychodzi z budynku i przechodzi przez jezdnię, mocno trzymając pod ramieniem zieloną tubę. Przez chwilę jego wzrok wędruje w górę, w stronę mojego kuchennego okna. Odkładam lornetkę i patrzę za nim już własnymi oczami, jak znika w głębi Chłodnej.